

TOŻSAMOŚĆ

Andrzeja K.



Autor bestsellerowego „Kata polskich dzieci”
i współautor „Małego Oświęcimia”

Błażej Torański



TOŻSAMOŚĆ

Andrzeja K.

*Opowieść o człowieku, który nie wie, kim jest.
Ale wydaje mu się, że wie*

Błażej Torański

Copyright © Błażej Torański

Copyright © Ostre Pióro

Wydanie I

Szczecin 2025

ISBN: 978-83-68498-15-8

e-ISBN: 978-83-68498-16-5

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie i kopiowanie całości lub części publikacji w jakiejkolwiek postaci zabronione bez wcześniejszej pisemnej zgody wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pomocą nośników elektronicznych.

Wydawca zezwala na udostępnianie okładki książki w internecie.

Projekt okładki

Katarzyna Seredin-Kolarczyk | www.kaes-seredin.pl

Zdjęcie na okładce | Zdjęcia

Freepik | Archiwum Muzeum Stutthoff

Redakcja

Monika Całka | Kropka i Spółka

Korekta

Ewa Hoffmann-Skibińska

Natalia Szoppa

Projekt typograficzny, skład i łamanie

Katarzyna Seredin-Kolarczyk | www.kaes-seredin.pl



Wydawnictwo

Ostre Pióro

www.ostre-pioro.pl

TOŻSAMOŚĆ

Andrzeja K.

Synowi.

Aby najważniejsza była dla niego prawda.

Wstęp

Historię Andrzeja K. opowiedział mi Tadeusz Płużański (znany publicysta i autor książek historycznych, syn jednego z więźniów najdłużej przebywających w obozie koncentracyjnym Stutthof, prof. Tadeusza Płużańskiego, historyka filozofii i pisarza, ale także autora wiersza poświęconego Andrzejowi K.). W tym czasie byłem już autorem bestsellerowej książki *Kat polskich dzieci. Opowieść o Eugenii Pol* i współautorem *Małego Oświęcimia*. Literaturą obozową zajmowałem się od kilku lat.

Kiedy usłyszałem o „urodzonym w Stutthof”, pomyślałem: historia nie z tej ziemi! Cud gonił cud. Jako niemowlę Andrzej K. przez kilka miesięcy miał być ukrywany w stertach bielizny esesmańskiej pralni. Przeżył, jak twierdzi, epidemię tyfusu. Z obozu wywiózł go, ukrytego w koszu, esesman. Miał trafić do sierocińca, a stamtąd do rodziny niemieckiego generała. Być zgermanizowanym. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że dzieci urodzone w obozie w zdecydowanej większości natychmiast zabijano. Zastrzykiem fenolu w serce. Tak postępowali lekarze obozów koncentracyjnych, bezwzględni mordercy. Jak Otto Heidl, który chwycił jedno z niemowląt za nóżki i z całym siłą uderzył jego główką o ścianę.

Nie miałem wątpliwości, że muszę historię Andrzeja K. przeświecić. Dać świadectwo prawdzie. Powstała z tego opowieść o człowieku, który szuka odpowiedzi

na pytanie, kim jest. Ukazująca dramatyczną walkę o własną tożsamość. Z wojenną traumą i pamięcią wojny. Z pytaniami: jak to wpływa na resztę życia? Jak je naznacza i warunkuje? Jak samotnym pozostaje człowiek ze swoją podartą, wybrakowaną i naznaczoną stratą biografii; ze strzępami historii, których nie da się zszyć tak, aby stworzyły jakiś jeden w miarę kompletny obraz przeszłości?

To także studium przypadku człowieka, który uważa, że duża część świata, który go otacza, sprzysięgła się przeciwko niemu, nie potrafi lub też nie stara się go zrozumieć, a w istocie robi to świadomie, gdyż boi się ludzi takich jak on. Osób na swój sposób „wyjątkowych”.

Ale jest w tym losie także coś znacznie ciekawszego. Jak w słynnej na cały świat historii Binjamina Wilkomirskiego. W latach 90. XX wieku przekonał on Szwajcarię i Niemcy, a potem cały świat, że jako dziecko był więźniem dwóch obozów koncentracyjnych. Rozpow szechniał nieprawdopodobne opowieści na swój temat. Jeździł po świecie z wykładami. Nagrała go ekipa filmowa podczas pojednania ze swoim „prawdziwym” ojcem ocalałym z Holokaustu. Ten myślał, że rozpoznaje w nim zaginionego syna. Jego relacjom zaufali wydawca, agentka literacka, media i światowa opinia publiczna. Historia Wilkomirskiego była wstrząsająca, łzawa – zbyt dobra, aby ją kwestionować. Wszyscy chcieli mu wierzyć.

Ja także chciałem dać wiarę opowieściom Andrzeja K. Nie wiedziałem, że wkraczam w świat fantasmagorii. Świat wykreowany. Świat sztucznych postaci, którymi posługują się hochsztaplerzy, aby zdobyć to, czego – według ich przekonania – im brakuje: podziwu, uznania, powagi, sympatii, miłości, pieniędzy czy sławy. I w tym celu wykorzystują takich poszukujących prawdy badaczy jak ja. Doprowadzają ich do utraty zmysłów.

Błażej Torański

Ludzie traktują swoje życie jak brudnopis

W obozie koncentracyjnym urodził się chłopiec.

Pan Andrzej: Za zgodą komendanta i naczelnego lekarza ponad siedem miesięcy przeżyłem w pralni esesmańskiej między stosami czystej bielizny. Opiekowały się mną więźniarki, aż niemiecki żołnierz wywiózł mnie w koszu z bielizną poza obóz. Do Zakonu Sióstr Elżbietanek w gdańskim Wrzeszczu. Stamtąd miałem trafić na germanizację.

Dwie matki, dwóch ojców i prawo do używania trzech nazwisk? Przez siedemnaście lat dociekał, kim jest. Jego życie balansowało na linii między nieznanym i nierozpoznanym.

W dokumentach przez lata miał zapisane, że urodził się 4 sierpnia 1944 roku w Warszawie. Jak w odpisie skróconego aktu urodzenia z 22 sierpnia 1951 roku: *Z ojca Wacław Feliks Kruk i matki Helena Kruk*¹.

W rzeczywistości, jest tego pewien, przyszedł na świat między 17 a 21 sierpnia. Najprawdopodobniej w nocy z 20 na 21. Ale nie w Warszawie, a w KL Stutthof, obozie koncentracyjnym. Kiedy pierwszy raz tam pojechał, w 1983 roku, przez godzinę wymiotował.

¹ Zachowano oryginalne sformułowanie zapisu urzędowego. Nazwisko pana Andrzeja oraz jego rodziców zostało zmienione.

Miejsce urodzenia – zapisane po polsku „Sztutowo” – uzyskał dopiero postanowieniem Sądu Okręgowego w Warszawie 10 lipca 2000 roku. Sąd stwierdził też, że nie jest biologicznym dzieckiem Wacława i Heleny Kruków.



Przedsionek piekła. Przystanek kolejki wąskotorowej „Stutthof Waldlager” (kadr z filmu, maj 1945) | *Archiwum Muzeum Stutthof*

Żółta koperta

Pan Andrzej: W 1950 roku przenieśliśmy się z Łodzi do Warszawy. W 1953 roku miałem dziewięć lat, po raz pierwszy zadałem sobie pytanie: „Kim jestem?”. Zajrzałem do biurka ojca – pamiętam, było ono ciężkie, masywne – i znalazłem żółtą kopertę z gotyckim nadrukiem Feldpost (poczta polowa), a w niej jakieś dokumenty i kartkę, rodzaj fiszki, z nazwiskiem zapisanym czarnym atramentem. Było mi obce. Obco brzmiące. Możliwe, że francuskie. Nie zapamiętałem. Zawsze miałem kiepską pamięć do nazwisk i tytułów. Ojciec, zwykle opanowany i spokojny, akurat wszedł do pokoju. Wściekł się, jak nigdy. Wyrwał mi kopertę i dał reprimendę.

Za jakiś czas znowu zajrzałem do tych dokumentów, aby przepisać tajemnicze nazwisko. Dokumentów już nie było. Kartki także. Zamiast niej w żółtej kopercie był mój akt urodzenia i odręczny dopisek ojca na kopercie: „Papiery Andrzeja”. Nie mam wątpliwości, że zawartość koperty została zniszczona, aby nie było śladu mojej adopcji.

W prywatnym archiwum pana Andrzeja zachowała się tylko koperta z gotyckim nadrukiem Feldpost.

Grzebał Pan w rzeczach ojca?

Pan Andrzej: Tak, tak, bo coś mi nie pasowało. Mam nietypową grupę krwi (A1B/Rh-). Byłem ciemnym szatynem o piwnych oczach, a rodzice mieli oczy niebieskie i blond

włosy. Często przy mnie przerywali rozmowy, zmieniali wątki. W powietrzu unosiły się niedomówienia. Kamuflowali się. Jakby mówili szyfrem. Nie chcieli rozmawiać o moim dzieciństwie. Czułem, że coś ukrywają. Ale nie byli w tym doskonali. Mówiąc o mnie, używali trzeciej osoby. „Wiesz, że ona ma chrześniaka, który ma Andrzej na imię”, matka zwracała się porozumiewawczo do ojca. Po gestach, tembrze głosu, mowie ciała kojarzyłem, że mówią o mnie.

To samo wyczuwałem u innych. Na przykład u sąsiadów. Mieszkaliśmy wtedy w Łodzi, w domu filmowców, przy Narutowicza 67, na rogu Lindleya, mieszkanie 11². Kiedy przechodziłem do Perskich, żona Ludwika, reżysera filmów dokumentalnych, montażystka Ludmiła (zwana Lala) Niekrasowa-Perska, witała mnie słowami: „O, przyszedł nasz Francuzik”. Oni byli przekonani, że znam swoje pochodzenie.

Skąd ten „Francuzik”, myślał Pan?

Pan Andrzej: Na początku zrzucałem to na karb swojej nietypowej urody. Dzieci polskie miały okrągłe głowy. Moja była bardziej wycofana.

² W październiku 1951 roku Wytwórnia Filmów Dokumentalnych przeniosła Wacława Kruka z Łodzi do Warszawy, dokąd przeprowadziła się cała rodzina.

Popychadło

Znaki ostrzegawcze narastały latami. Od dziewiątego, a wyraźniej od jedenastego roku życia, kiedy od dawną mieszkaliśmy w Warszawie. Ojciec rzadko był w domu. Dużo pracował. Do ostrych konfliktów dochodziło z matką.

Kim była?

Pan Andrzej: W Warszawie zajmowała się domem, a w Łodzi pracowała jako kasjerka w kawiarni Mokka przy Piotrkowskiej. Żona właściciela była moją matką chrzestną. Bywali tam filmowcy, aktorzy, pisarze i dziennikarze. Także ubecy w cywilu i chłopcy z lasu, ale nie równocześnie. Na wystawie stał Mikołaj zrobiony z krepiny, bibuły i waty. Miał mniej więcej trzydzieści centymetrów. Kiedy Mikołaj stał po lewej stronie wystawy, sygnalizował „żołnierzom wyklętym”, że nie mogą wchodzić, bo na sali są ubecy. Po prawej był znakiem, że nic im nie grozi. Matka zarabiała tam wtedy tyle, co ojciec w wytwórni filmowej.

Ale ważniejsze były nasze relacje. Matka coraz częściej była wobec mnie opryskliwa, apodyktyczna. Złośliwa, kąśliwa choleryczka. Traktowała mnie jak maskotkę i ciągle mi czegoś żałowała. Innym dzieciom w rodzinie – na przykład bratanicy i bratankowi – kupowała ubrania, nawet całkiem drogie jak na ówczesne czasy, a mnie nic.

Dochodziło do zgrzytów, nieprzyjemnych sytuacji, do awantur. O byle co. Matka wysługiwała się mną: kazała mi biegać po zakupy, wyprowadzać na spacer psa, wynosić śmieci, trzepać dywany. Traktowała mnie jak popychadło. Jak zabawkę. Karciała i egzekwowała posłuszeństwo. Często biła mnie smyczą, a gdy pies warczał w mojej obronie, też obrywał. W rzeczywistości wychowywały mnie gosposie.

Brakowało mi ciepła, pocałunku, miłości. Widziałem, jak inne matki swoje dzieci przytulały, całowały, gładziły po głowach. W stosunku do mnie matka utrzymywała chłodny dystans. Wlokło się to latami. Pamiętam, jak kiedyś siedziałem na ławce na skwerze. Czułem suchość w ustach, a po chwili słony smak spływających mi po twarzy łez. Myśli goniliły jedna drugą: co robić? Jak wydostać się z tej matni?

Często zastanawiałem się: skąd się u niej bierze taki stosunek do mnie? Wiedziałem, że lekarz skierował ją w sanatorium na badania psychiatryczne. Ale szybko stamtąd uciekła.

Zrozumiałem też, dlaczego tak łatwo matka wysyłała mnie w wieku kilkunastu lat na trzymiesięczne kolonie dla dzieci wojny z nauką, obozy, albo podrzucała na wakacje swojej rodzinie lub obcym ludziom. Wreszcie zupełnie wyparła mnie z grona bliskich, wysyłając do prywatnego liceum ojców pijarów w Krakowie, gdzie umieszczono mnie w internacie. U pijarów był reżim. Nie miałem tam nazwiska, tylko numer: dziewięćdziesiąt cztery. Jak ktoś do mnie telefonował, to ksiądz wchodził na salę i wzywał: „Numer dziewięćdziesiąt cztery!”.

Wśród krewnych matki także czułem się nieswojo. Jakby traktowano mnie na dystans. Po macoszemu. Wszystkie bratowe matki uważały mnie za obcego. Nie okazywały tego obcesowo, ale unosiło się to w powietrzu. Jak kłęby dymu z papierosów, palonych przez matkę w strasznych ilościach, codziennie po sześćdziesiąt.

Tylko w jednym muszę matce oddać sprawiedliwość: potrafiła zdobyć dla mnie z amerykańskich paczek witaminy, penicylinę i inne lekarstwa, które uratowały mnie przed gruźlicą i śmiercią. Zmuszała mnie do picia tranu. We wczesnym dzieciństwie przechodziłem ostrą anemię. W płucach, jak wykazało prześwietlenie, miałem dziurę wielkości ziarnka pieprzu.

Ale z jej powodu straciłem zaufanie do ludzi. Stałem się twardy, stanowczy i czujny. Niestety, trauma rodzinna przełożyła się na moją edukację. Zacząłem opuszczać się w nauce.

Już kilka lat wcześniej, mniej więcej w dwunastym roku życia, postanowiłem się usamodzielnić. Zacząłem na siebie zarabiać. Trzepałem sąsiadom dywany, myłem okna, wiorkowałem parkiety.

Z ojcem miałem zupełnie inne relacje, silną nić porozumienia. Ale był bardzo pochłonięty pracą, coraz częściej wyjeżdżał do Warszawy, gdzie współtworzył Wytwórnię Filmów Dokumentalnych i realizował kolejne edycje Polskiej Kroniki Filmowej. Nawet nie zauważał, co matka ze mną wyprawiała.

Raz poprosiłem go o kieszonkowe. „Mogę ci dawać co miesiąc pięćdziesiąt złotych” – usłyszałem. Na to odparłem: „Tato, przecież, jako filmowiec i reżyser, zarabiasz bardzo porządnie w stosunku do innych obywateli. Sześć i pół tysiąca. Nie wyobrażam sobie, abys mi dawał pięćdziesiąt złotych, bo to mi starczy co najwyżej na dwa bilety do teatru”. I usłyszałem: „Ale kino masz za darmo”. Wystarczyło, że brałem legitymację ojca. Chodziłem też na koncerty jazzowe, symfoniczne, na operetki i do teatrów dramatycznych. Ostatecznie ojciec zaproponował, że będę jego asystentem przy montażu. Na początku kręcił nosem, ale zgodził się na sześćset złotych miesięcznie. Dla dwunastoletniego chłopaka były to gigantyczne pieniądze, bo na mieście najniższe płace sięgały siedmuset, ośmuset złotych. Kleiłem ścinki, ojciec montował.

Pamiętam, był październik 1956 roku. Mieszkaliśmy już od kilku lat w Warszawie. Siedziałem na latarni i widziałem te tłumy na Placu Defilad podczas przemówienia Władysława Gomułki. W mojej ocenie było tam ponad milion ludzi. W tłumie dostrzegłem pomalowaną na czarno trumnę z tektury, z białym napisem „Rokossowski”, a Konstanty Rokossowski stał na trybunie w mundurze marszałka Polski obok I sekretarza KC PZPR, Władysława Gomułki. Mój los nałożył się na losy kraju. Na łyk wolności.

Ale, szczerze mówiąc, polityka mnie nie interesowała. Lgnąłem do harcerstwa, bo tam ćwiczyłem floret, bieganie, strzelanie – miałem dziewięćdziesiąt trzy trafienia na sto możliwych.

Blef

Pan Andrzej: Pewność co do adopcji przyszła w wieku szesnastu lat. Najpierw brat matki wziął mnie na motocykl WFM i zawiózł pod Stutthof. Nie wiem, po co i na co, bo przecież nic nie pamiętałem z obozu. Ale coś już musiał wiedzieć.

Kiedy pytałem matkę, jak było z tą adopcją, odpowiadała tylko: „A daj mi święty spokój!”.

Kolejny raz pojechałem do Wróblów na wakacje. Wtedy zblefowałem: „Ciociu, jak to było z moją adopcją?”. Odpowiedziała: „Ja tego dokładnie nie wiem, ale wie Jadwiga Plucińska, bo ona wpadła na pomysł twojej adopcji”. Przystałem mieć wątpliwości.

Jadwiga Plucińska była reżyserką filmów dokumentalnych, scenarzystką i aktorką, przyjaciółką moich przybranych rodziców. Długo na nią czekałem, gdyż w 1959 roku została skazana na siedem lat więzienia za szpiegostwo na rzecz USA. Po odzyskaniu wolności wróciła do swego mieszkania w Warszawie przy Wilczej. Tam ją odnalazłem.

Po wyjściu z więzienia Jadwiga Plucińska mówiła Andrzejowi Krukowi, że nie pamięta, czy był to czerwiec, czy lipiec 1946 roku. Potwierdzała, że pracowała w „Filmie Polskim” w Łodzi i zbierała dokumentację do filmu krótkometrażowego o domach dziecka. Ułożone były przeważnie w opuszczonych wiejskich dworach

i pałacach. Ich centralny punkt mieścił się w Łodzi przy ulicy Głównej (obecnie jest to Mickiewicza) wraz z UNRRA³, gdzie rozdzielano dary i paczki zza granicy.

Kilkorgiem dzieci – w wieku od dwóch do czterech lat – opiekowały się siostry zakonne. Nosiły czarne habity i białe, przylegające do głów czepki, przykryte częściowo czarnym welonem. Szukały rodzin zastępczych dla sierot. *Siostra prosiła mnie, czy nie mogłabym wśród moich znajomych znaleźć dla tych małych dzieci, z których każde ma za sobą tragiczne dzieje, zastępczych rodziców, ludzi wartościowych, odpowiednio sytuowanych, gwarantujących im czułą opiekę rodzinną.*

Uwagę reżyserki zwrócił około dwuletni chłopczyk o subtelnej urodzie, smutnych ciemnych oczach, czarnowłosa, wyróżniający się lekko śniadą karnacją skóry, którego nazywano Mireczkiem. Wzruszyła ją głęboko jego tragiczna historia. Od siostry zakonnej dowiedziała się, że *jest to dziecko urodzone w obozie hitlerowskim Stutthof koło Gdańska (...). Zaopiekowały się nim siostry zakonne. Z dalszej opowieści wynikało, że jego ojciec był także cudzoziemskim więźniem i rodzice chłopca zostali oboje zamordowani przed likwidacją Stutthofu. Nie zostało po nich żadnych śladów, usłyszała reżyserka.*

3 Koniec wojny spowodował, że siostry (elżbietanki z Gdańska – przyp. B.T.) zdecydowały się przekazać grupę sierot wojennych do ośrodka UNRRA (Organizacja Narodów Zjednoczonych do Spraw Pomocy i Odbudowy – przyp. B.T.) w Łodzi w celu znalezienia dla nich rodzin zastępczych – pisze dr hab. Marek Orski w książce Obywatele francuscy w Obozie Koncentracyjnym Stutthof w latach 1941–1945.

Plucińska od razu pomyślała o koledze, reżyserze z Kroniki Filmowej Wojska Polskiego, Wacławie Kruku i jego żonie Helenie (która przed wojną pracowała w sklepie). Byli bezdzietnym małżeństwem i rozważali adopcję dziecka. Pani Helena *ogromnie przejęta jego tragicznym losem i rozczulona jego smutnym wdziękiem i urodą postanowiła po rozmowie z mężem usynowić małego Mirka* – opisywała reżyserka, dodając na koniec: *Oświadczenie składam na prośbę Andrzeja Kruka, który usiłuje ustalić prawdziwość swojego pochodzenia.*

Adopcja, jak wylicza w tej relacji, poszła błyskawicznie: przewodniczący Miejskiej Rady Narodowej w Łodzi zgodził się na zniszczenie oryginalnych dokumentów dziecka przekazanych adopcyjnym rodzicom przez siostry elżbietanki. Zameldowano go jako Andrzeja urodzonego 4 sierpnia 1944 roku w Warszawie.

Inicjały imienia i nazwiska, jak powiada pan Andrzej, miały upamiętniać Armię Krajową, do której w czasie okupacji należał Wacław Kruk. O tej nieformalnej adopcji wiedziały tylko Jadwiga Plucińska i jej siostra, Irena Starowa. Wtajemniczeni umówili się, że zapadnie nad nią kurtyna milczenia.

Pan Andrzej: Na początku rodzice bardzo to ukrywali. Poza Łodzią matka udawała, że była w ciąży i mnie urodziła. Ale, tak naprawdę, była to tajemnica poliszynela. Wielu wiedziało. Mistyfikacja miała krótkie nogi, bo mieszkaliśmy

w Łodzi, w kamienicy filmowców przy Narutowicza 67, mieszkania 11.

Rzeczywiście, Helena Kruk nie utrzymała długo tajemnicy. Zwierzyła się z niej przyjaciółkom. Andrzej wtenczas nie wiedział, że nie jest ich rodzonym synem.

Jadwiga Plucińska: Dopiero gdy jego ojciec leżał na łożu śmierci pan Andrzej definitywnie dowiedział się prawdy o swoim pochodzeniu, co do którego miał już od kilkunastu lat pewne podejrzenia⁴.

Kropkę nad „i” w dociekaniach pana Andrzeja co do adopcji miał postawić jego przybrany ojciec, Wacław Kruk, tuż przed śmiercią w 1981 roku.

Pan Andrzej: Lekarz powiedział mi, że nie zostało mu dłużej, jak dwa dni życia. Doradził, bym z nim porozmawiał.

Odważyłem się powiedzieć ojcu o swoich domysłach, o tym, co wiem. Postawiłem go w takiej sytuacji, że nie mógł zaprzeczyć. *Wiem, że nie jesteś moim biologicznym ojcem, ale czy to prawda, że urodziłem się w obozie?* Potwierdził, że urodziłem się w Stutthof. Że byłem synem francuskiej pół-Żydówki. Nazwiska już nie pamiętał. Potwierdził adopcję, ale więcej nie chciał o tym rozmawiać. Był powściągliwy. Albo mówił, albo milczał. Dał tylko jeszcze wyraz temu, jak

4 Oświadczenie reżyserka złożyła w grudniu 1983 roku w biurze notarialnym. Zmarła w kwietniu 1999.

jestem mu drogi: *Jesteś moim synem i skończmy tę rozmowę*. To było ostatnie zdanie, jakie od niego usłyszałem. Zmarł 10 kwietnia 1981 roku na raka.

Czy nie pytałem matki? Pytałem, ale w ogóle nie chciała o tym rozmawiać. *Nie pamiętam! Nie gadaj bzdur!* – wykrzykiwała. Takie były jej reakcje. Jak zwykle agresywne. Zmarła dwa lata później.

29 kwietniu 1999 roku Sąd Rejonowy dla miasta stołecznego Warszawy zaprzeczył rodzicielstwo przysposobionych rodziców: Małżonkowie Helena i Wacław Kruk dwuletniego chłopca – prawdopodobnie syna francuskiej Żydówki, urodzonego w obozie koncentracyjnym Stutthof, wzięli od Sióstr Zakonnych Elżbietanek z Łodzi pod swoją opiekę. Dokumenty chłopca zostały zniszczone. Na podstawie ustnego oświadczenia Wacława Kruka został sporządzony akt urodzenia Andrzeja Kruka w dniu 25 września 1946 roku w Warszawie jako syna Heleny i Wacława Kruków. Małżonkowie Kruk, nie mając biologicznego potomstwa, dokonali więc nieformalnej adopcji dziecka. Pozwany Andrzej Kruk dowiedział się, że nie jest biologicznym dzieckiem swoich rodziców, lecz żydowskim dzieckiem, urodzonym przez więźniarkę obozu Stutthof, gdy miał lat kilkanaście [sic!]. Jego przybrany ojciec potwierdził te fakty na łożu śmierci.